Ner 28. Kraków 15 października 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

Nr. 28. — Lord Byron szkic literacko-biograficzny przez Lucyana Rycharskiego. (Ciąg dalszy nastąpi). — Pełni się... przez Y. R. T. — Pan Lecoq romans przez Gaboriau. — Kronika. — Rozmaitości. — Od Administracji „Kaliny.“ —

LORD BYRON

SZKIC LITERACKO-BIOGRAFICZNY

PRZEZ

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy, patrz N. 20).

Tego celu nie osiągnął nigdy tu na ziemi genjalny wieszcz Child-Harolda. Posłuchajmy go dalej, jak opisuje widokł gór Portugalji: „Wierzchołek gór bieleje i niknie w przestrzeni, w koło widzimy pomniejsze i rozmaicie rozsypane doliny, a dalej ciągną się niezmierzone płaszczyzny, którym widnokrąg pozorne nadaje granice, lecz cóż przedziela Luzytanję od jej zawistnej siostry? — czy wspaniałe nurty Tagu przecinają dwa zazdrosne narody, czy dumny i skalisty łańcuch Sierry-Moreny, czy ręka ludzka wzniosła tu granice na wzór muru chińskiego? Niema tu ni muru, ni szerokiej rzeki, ni skał nagich, ni gór wyniosłych, któreby dzieliły Liberję od Gallów. Skromny tam tylko, nieznany strumyk sączy srebrzyste swe wody, a brzegi jego ubrane kwiatami do obu należą narodów.... Tam pasterz, grając na swej fujarce przygląda się spokojnie nurtom płynącym między dwoma nienawistnemi ludami.“ W tym śpiewie jest piękny opis walki byków w Kadyxie, tem bardziej, że tam autor całkiem oddany jest przedmiotowości, co mu się rzadko zdarza, i zaraz też jakby zmęczony tem oderwaniem się od siebie, wraca do obrazu Harolda, opowiada jego smętne milczenie, jego niezdolność mieszania się do wesołości ludu — dzielenia uczuć przyjaźni, miłości; ten zwrot zakończa śpiew do Inez, pełen żałości. Tego śpiewu nie nakreśliłby był nigdy czuły Petrarka; trzeba mieć bardzo dręczone sumienie i zarazem bardzo chrześcijańską tęsknotę do nadziemskiego ideału, żeby taką pieśń zanucić. Wiersze do Inez wyrażają z mocą sytość uciech życia. Zadziwia zrazu uczucie tak bolesne w sercu młodem; ale należy sobie przypomnieć, że Byron już w wieku dziecinnym opuszczony był przez ojca, iż namiętnie kochał młodą osobę, która jego miłości nie dzieliła i z którą okoliczności go rozłączyły, iż pierwsze jego pisma pełne szlachetnych uczuć i wzlotu ku wzniosłym przedmiotom były wyśmiane, iż nagła zmiana majątku odkryła mu wiele podłości i nikczemności, iż był drażliwym, zbyt czułym, namiętnym, a wytłumaczymy sobie jego posępność i samotność. Nie mógł on, jak ludzie pospolici, czuć do połowy; wszystko w nim przybierało charakter wielki i trwały. Chciał był o ludziach dobrze trzymać, ale przeznaczenie inaczej rozrządziło, kazawszy mu doświadczać smutnych interesu i samolubstwa przykładów. Najczystszy charakter widział jeszcze w swojej kochance *Chaworth.* We wszystkiem, co do niej stosuje, przebija tyle miłości i szacunku, iż się zdaje, jak gdyby jej dziękował, że mu cnotę poznać dozwoliła. W dziejach starożytności starannie szukał jej wzoru. Grecja była nową jego ojczyzną. Serce jego zwracało się ku jej sławnym ludziom od lat młodych! Przywoływał ich do siebie i dziwił się, że umrzeć mogli. Niekiedy zanurza się w myślach posępnych, pływa po oceanie niepewności. Ubolewa i lituje się nad rodem ludzkim, ale na widok rozwalin Aten przez lorda Elgin zrabowanych, ożywia się całe jego życie. Wpada w złość na widok pogwałcenia tych świętości.

Piękny jest także ustęp do Parnasu, kiedy poeta opisując poświęcenie córek hiszpańskich nagle stawia się wobec Parnasu, opiewa jego wielkość i żałuje, iż wspaniała Grecja takiemi bohaterkami szczycić się nie może. —

Znowu wraca do Harolda: wyjechał on z Hiszpanji i płynie ku Grecji. Postęp okrętu, jego wewnętrzne urządzenie, karność majątków, wszystko opisane w nim jest z prawdą natchnioną życiem. „Nadchodzi noc; jestto chwila rozmyślań przypominająca, żeśmy kochali, chociażeśmy kochać przestali, chwila w której dusza o przeszłości i dumie zapomina i prawie mimowolnie po przyszłości buja.“ — Harold przebywal ciche wody, gdy zdaleka wyspę Kalipso i straszną a czulej pamięci górę Lenkady spostrzegł. Nakoniec pagórki dzikiej Albanji przez mgłę przeglądać zaczęły. — Druga pieśń Child-Harolda daleko jest wyższą od pierwszej pod

względem sztuki, celuje ona szczególnie bogactwem obrazów natury, może też same okolice więcej natchnienia użyczały poecie. Od dzieciństwa bowiem kochał Grecję, marzył o wschodnich krajach. Śpiew ten rozpoczyna się smętnem wspomnieniem dawnej Grecji, widoki zniszczenia, znikłe pamiątki przeszłości, budzą w poecie jakieś uczucie nicości — wątpliwość rzuca strofy pełne niewiary i rozpaczy, i tu najlepiej się wykrywa, jak ubogim był Byron w prawdziwe życie moralne, jak rzadko wnikał w jego bogate tajnie, gdzie myśl opatrzności ciągle uprzytomnia, oświeca obszary wątpiącej niekiedy wyobraźni.... Opuśćmy te skeptyczne strofy, a przejdźmy do malowniczych opisów Grecji, w których nikt Byronowi nie zrównał. „O Grecjo! jakże zimne serce człowieka, który widząc ciebie, nie czuje tego samego wzruszenia jak kochanek w obec popiołów drogiej istoty. Harold spostrzega nadbrzeżne skały poza cieśniną Caipe. Europa z Afryką spoglądają na siebie, słaba pochodnia Hekuby oświeca razem krainę Czarnookiej Iberji i Maurytanki hebanowych liców, a jej światła igrają na Kastylskich brzegach, odkrywając przed okiem malownicze skały, spadziste pagórki, zielone lasy; wśród tego posępne góry Maurytanji, podobne olbrzymom, rzucają długie cienie, ciągnąc się od pysznych wierzchołków aż do smętnych dolin.“ „Zatrzymywać się na skałach, marzyć wśród bałwanów morskich, lub nad brzegiem przepaści błąkać się wolnym krokiem w cieniu lasów, śledzić miejsca najbardziej od panowania ludzi oddalone, gdzie niema śladu stopy człowieka, wdzierać się samotnie na spadziste góry, gdzie błądzą trzody dobroczynnego pozbawione cienia, nachylać się nad przepaścią, przeglądać się w pieniącym wodospadzie, nie to nie jest samotnością, to jest słodkiem obcowaniem z przyrodą, karmieniem się jej skarby, wielbieniem jej wdzięków.“ — Wszędzie tu widzisz wśród uroczej krainy żałosną, łzawą postać człowieka, która nadaję mowę olbrzymim głazom.

Z Aten udał się Byron morzem do Konstantynopola. Na uczczenie pamięci Leandra przebył w godzinie i 5 minut wpław Helespont, wprawdzie tylko na mile angielską szeroki, ale z powodu bystrego biegu do przebycia trudny. Zaziębiwszy się chorował na febrę, w czasie której napisał wiersz żartobliwy o swojej chorobie i jej przyczynie.

Ostatnie strofy drugiej pieśni Child-Harolda napiętnowane są bólem świeżem i głębokim; nie są to już skargi niepewne, ale się w nich odzywa serce, nowemi nieszczęściami ciężko zranione, w tej epoce dowiedział się także, iż panna Chaworth z kim innym weszła w śluby małżeńskie, co resztę jego nadziei zniszczyło. Dalej zwraca Byron mowę do przyjaciela, którego w Hiszpanji stracił.

W długim przeciągu czasu między wydaniem drugiej a trzeciej pieśni Child-Harolda wydał Byron większą część dzieł, o których już powiedzieliśmy wyżej. Odważył się także odwiedzić kochankę, chociaż już była zamężną. Tym odwiedzinom poświęcił wiersz pełen czułości i czystości. Dopiero po rozłączeniu się z żoną i po wyjeździe z Anglji zajął się ukończeniem swego poematu. Dlatego też koniec wydatniejszy ma jeszcze ton, niż początek; wzruszenia poety nie pochodzą z zewnętrznych wrażeń, wydobywają się z jego duszy i zachmurzają wszystkie przedmioty, które go otaczają. Jest to ognisko pożaru, rozpościerającego daleko od siebie jasność żałobną. Niekiedy sili się wyjść z zamętu cierpień, ale znowu w nim ginie. Jeden wyraz, jedno nic, wtrąca go napowrót. Genjusz nie chce mu być posłusznym; jedna tylko jest droga, której trzymać się musi. Takie usposobienie robi z poematu *Child-Harolda* prawdziwe pamiętniki *lorda Byrona.* — Chociaż zawsze jedno uczucie w nim przeważa, nie jest jednak nigdy jednostajnym; boleść jego coraz nowe przybiera tony. Harold stąpa po popiołach Cesarstwa; stoi na równinie użyźnionej trupami, na pamiętnej równinie pod Waterloo. Cienie majestatyczne występują z ziemi i gromadzą się w około olbrzyma. Narody skojarzyły się przeciw niemu; nadaremnie stawia przeciw nim żelazne czoło, ramie niegdyś potężne. Panowanie jego już minęło. — Przed Byronem nikt w tej epoce bezstronnie Napoleona nie ocenił; mierzono go z dołu jak zwykle góry nieprzystępne mierzą. Byron patrzał nań z wysokości obłoków; i Napoleon okazał mu się jako człowiek wielki przez swoją odwagę, czyny i nieszczęścia, ale związany z człowieczeństwem przez swoje namiętności i błędy.

Podróżując dalej Harold, zwiedza Renem śmiejące się jego nadbrzeża. Nadchodzi wiosna w orszaku ptaków i kwiatów; pobojowiska pokrywają się bujnemi plonami, wszystko, nawet dusza pielgrzyma przybiera świeżość. Błyski radości ożywiają niekiedy jego rysy, znachodzi wspomnienia pierwszych wrażeń, ogląda się na szczęśliwą i świeżą dziecinność i uśmierza ból serca. Ludzie przestali już być przedmiotem jego wzgardy. Grób wojownika cnotliwego i sprawiedliwego, grób jenerala *Marceau* pogodził go z rodem ludzkim. — Dalej oddaje Byron jeszcze czulszy hołd pamięci *Julji Alpiny*, kapłanki młodej, która nadaremnie usiłowała ocalić życie ojca skazanego na śmierć przez Aulusa Cecinę. Żaden moralista nie wyznał wiary szlachetniejszej, szczerszej i powabniejszej. Genjusz unoszący się nad światem zniża się na grób dziewczyny i uwieńcza go chwałą, którejby możni pozazdrościli uczucia. — Zdanie lorda Byrona o *Roussie* jest jednem z najpiękniejszych miejsc trzeciej księgi. Byron maluje równie szczęśliwie przedmioty widzialne, jak najdelikatniejsze odcienia uczuć. Nie było genjuszu, któryby łatwiej jak on wyrażać mógł to, co zdaje się wyrażonem być nie może. Bogaty język angielski nie był dla nie-

go dostatecznym; pomnożył go, tworząc często obrazy całe ze składanych wyrazów.

Zdaje się, iż już wszystkie zakąty swej duszy dał poznać, gdy nagle oznajmia nam, że okropne kryje tajemnice. Natura ludzka tak jest dziwaczną, tak niepojętą, iż nieustannie się usuwa przed wzrokiem naszym. Mieści ona tajemnice nam nieznane i może jej niepewność i zasłona najwięcej do jej poznania pociągają. — Widok Klarensu obudza w duszy Harolda mnóstwo miłych uczuć. Ten raj ziemski podwójnie staje się pięknym przez wspomnienia na Roussa i na jego utwory. Kończąc pieśń trzecią Byron zaczyna znowu mówić o sobie. Ale wspomnienie swoich nieszczęść przypomina mu córkę, której już widzieć nie miał: przemawia do niej w wyrazach tak czułych, iż bez wzruszenia czytać ich nie można. Co za dziwaczne i bolesne przeznaczenie! Człowiek najczulszy pozbawiony był własności, którą wszyscy posiadają. Nie miał żony, dzieci, i to ogołocenie było dla niego straszniejszem, niż sama śmierć, bo przedmioty jego czułości żyły dla innych, a wspomnienie ich rozdzierało rany, które goić należało. Nie miał ojczyzny, w swojej był źle poznany, a niesprawiedliwą jeszcze kochał. — Wraca on nieustannie do pamysłu moralnego, rozwiniętego w *Manfredzie*, mianowicie, iż my sami jesteśmy twórcami naszych błędów i skutki ich smutne sami ponosić musimy. Dlatego też mniej na los, niż na samego siebie się uskarża. — Lecz jakie były uchybienia, za które tak srogą karę ponosił, to nie wiadomo. W młodości zapewne zaczęły się to wyrzuty sumienia; lecz dotychczas przyczyny ich nikt nie odgadnął. O sobie mówi zawsze jak o człowieku przygniecionym ciężarem potępienia, lecz poddającym się losowi i oburzającym się na tych, którzy kaźni jego są narzędziami.

Wróćmy do Harolda: — Przebył Włochy, zwiedził piękną Wenecję, której z dawnej świetności nic nie pozostało i Ferrarę, ojczyznę *Tassa*, gdzie tenże w więzach jęczał, zamknięty przez dumnego despotę Alfonsa Este, którego imie wraz z nikczemnym prochem w zapomnieniu byłoby zagrzebane, gdyby go podłe stosunki z losem poety niepamięci nie były wydarły. — Nakoniec ogląda Rzym w całym przepychu upadku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PEŁNI SIĘ....

Skwar palił ziemię — a on szedł ochoczy
Nie otarł z pyłu nóg....
Z nad jego czoła wieje duch proroczy —
Jak Bóg!

A tchnienie pańskie wiodło go w winnice
Wśród których z dawnych dni,
Stały kamienie grobów i bóżnice
Świętej czci!

Z ruin grobowych, Mojżeszowe znaki
Patrzą w świat groźnie tak —
Jako sterczący dziwnemi zygzaki —
Śmierci znak!

Tam on pod winnych latorośli cieniem,
Wsparty o grobów głaz.
W zatartych znakach czytał duszy drżeniem
Boży czas!

Na śmierci głazie pańskiemi słowami
Wyryty straszny sąd:
Przekleństwo Pana nad Izraelami —
Za ich błąd!

Lecz wielkie czasy starły słowa święte
Przekleństwo kruszy Bóg....
Głaz gdzie wyryte znakami „przeklęte"
Padł u nóg!

Pośród tych gruzów bożym snem się złożył
Duch jego jasno śni....
W śnie ujrzał Pana, wielce się ukorzył
I drży!...

I głos usłyszał wielkiemi słowami —
Przekleństwo ściera Pan —
I zmiłowania nad Izraelami
Dzień jest dan!

Pójdziecie dalej światem.... wielkiej siły
Jak chłostę mą was szlę
Na Chrystusowe ludy, co tłumiły
Bożą skrę!...

Szala ich zbrodni dziś już przeważona —
Wszędy Kaina noc.
Więc ich oddaję jako w Faraona,
W waszą moc! —

.....Y ...RT.

PAN LECOQ

ROMANS

przez Gaboriau.

I.

20. Lutego 18... roku w zapustną niedzielę z policyjnego posterunku wyszedł patrol, dla przejrzenia obszernej części miasta, rozpościerającej się od ulicy Fon-

*

teneblau do Schwany i od Bulwarów do Szańców. —

Ta część miasta używała w owym czasie takiej straszliwej sławy, jak teraz kopalnia kamieni w Ameryce. —

Zwykle po północy była ona kryjówką włóczęgów niemających dachu; wyprawiali oni tam uczty za kradzione pieniądze, niektórzy naznaczali sobie tam schadzki, a gdy napadał ich sen, chowali się w fabrycznych szopach lub niezamieszkalnych domach.

Podejmowano wiele trudu na wypędzenie tych niebezpiecznych gości, lecz i najenergiczniejsze środki były daremne.

Następstwa teraźniejszego obchodu patrolu były doskonale przewidziane i tak obrachowane, że naczelnik posterunku pewnym głosem zawołał za oddalającemi się ajentami:

— Przygotuje pomieszczenie się dla naszej zwierzyny, szczęśliwego polowania i przyjemnego spaceru!

Ostatnie życzenie było ni mniej ni więcej jak żart, bowiem gorszej niepogody być niemogło; przez wszystkie poprzednie dni padał bezprzestannie śnieg i zaczynała się odwilż. Wszędzie gdzie tylko był większy ruch, tam błoto było po kolana. Prócz tego było zimno wilgotne przenikające do kości. Do tego dodajmy gęstą mgłę, że jak to mówią, przed samym nosem nie było nic widać.

— To mi życie mruczał jeden z policyjantów.

— Tak, odpowiedział dowódzca patrolu, ja myślę, że gdybyś ty miał 30,000 fr. rocznego dochodu, nie byłbyś tutaj.

Śmiech, jaki spotkał ten dowcip, był raczej oznaką uszanowania władzy.

W prefekturze dowódzca był ceniony bardzo wysoko i rzeczywiście zasługiwał na to.

Jego przezorność nie była zbyt wielka, lecz ze subtelnościami wszelkiemi wykonywał swoje rzemiosło i znał, jak to mówią, wszystkie wyjścia i wejścia.

Oprócz tego praktyka dała mu niczem nie zmieszaną pewność siebie i umiejętność pokazania się grzecznym. —

Z temi przymiotami i wadami łączył znaną wszystkim odwagę. —

Łapał najstraszniejszego włóczęgę tak spokojnie,, jak bigotka kiedy macza palce w kropielnicy.

Miał lat 46. był silnym mężczyzną, miał szorstką twarz, wielkie wąsy i małe czarne oczki z pod nawisłych brwi.

Imię jego było Żewrol a przezwali go jenerałem.

Patrol szedł wtenczas uliczką Choisie, tu trotuary były bardzo czyste, a światło z szynków dostatecznie oświecało drogę.

Wszystkie sklepy były otwarte. Ani kurzawa, ani odwilż nie przeszkadzały bawić się dobrym przyjaciołom. —

Wszędzie w szynkach pito i tańczono jak na balach publicznych.

Lecz teraz weszli w ulicę, ledwie odznaczającą się bez nazwiska, otoczoną dołami, zawaloną gruzami. T[illegible] kurzawa, błoto i śnieg były nawet niebezpieczne.

Nie było więcej światła, nie było sklepów, nie słyszano już kroków ani głosów, nic... Wszystko zdawał się umarło. Ciemność, cisza. Chateauderantia, dał się słyszeć rozrywający duszę krzyk, który zagłuszał okolic

W tem miejscu i w tym czasie, krzyk ten oznacza wszystko.

Ajenci natychmiast stanęli.

— Słyszałeś jenerale? zapytał cicho jeden z nich

— Tak, gdzieś blisko popełniają zabójstwo...... lecz gdzie? — Ciszej słuchajcie!

Wszyscy stanęli jak wryci; zatrzymali oddech, nadstawili uszy i niedługo znowu powtórzył się krzyk, albo raczej wycie.

— A ha! krzyknął dowódzca, to w Poivriére.

Z samego tylko nazwiska można było wystawić sobie i miejsce i jego stałych gości.

Żewrol rzucił się we wskazane miejsce, inni poszli za jego przykładem.

W chwilę zatrzymali się około ziemnego jakiegoś budynku, stojącego wśród pustego miejsca.

Rzeczywiście z tego legowiska pochodziły krzyki, te powtórzyły się jeszcze z towarzyszeniem dwóch wystrzałów. —

Dom ten był w około zamknięty, okna zamknięte okiennicami, w których wykrojone były otwory w kształcie serca.

W tych otworach widać było czerwone jakby od pożaru światło.

Jeden młody policjant wdarł się po taranie do okna i przez dziury w okiennicach mógł widzieć co się działo wewnątrz. — Żewrol podbiegł do drzwi.

— Otwórzcie! — krzyknął silnie stukając.

Lecz odpowiedzi nie było.

Z wewnątrz dochodziły do uszu ajentów przekleństwa, głuche chrapanie, przerywane jęczenie kobiety i wrzawa bójki.

— Okropnie! krzyknął patrząc w okno młody policjant, okropnie!

Wykrzyk ten zmusił Żewrola do przedsięwzięcia stanowczych środków.

— W imieniu prawa! krzyknął trzeci raz.

Nikt nie odpowiadał. Co było robić?

Żewrol podparł silnie drzwi ramionami i te z hałasem upadły.

Tu wyjaśnił się krzyk przestrachu policjanta patrzącego w okno.

Nizka sala w Poivriére przedstawiała taki obraz, że wszyscy przejęci przestrachem stanęli przez chwilę jak osłupiali.

Wszystko przedstawiało okropną bitwę. Światła jak można się było domyśleć, pogasły przy samym początku bitwy, a paląca się wielka jodłowa deska, oświecała wszystkie najmniejsze zakątki.

Stoły, stołki, tabourety, prawie wszystko było przewrócone, pobite.

Około pieca w poprzek, leżało na wznak nieruchomie dwóch, ze złożonemi na piersiach rękami, trzeci tarzał się na środku sali.

Na prawo w głębi na nizkich stopniach wschodów, prowadzonych na wyższe piętro, siedziała skurczona kobieta z zakrytą fartuchem głową i cicho jęczała.

Na przeciwko, wprost drzwi wychodowych były drugie roztworzone drzwi.

Na progu tychże stał człowiek nieruchomy i blady, zasłoniony przed wchodzącemi ciężkim dębowym stołem. —

Był on nie młody, średniego wzrostu i nosił brodę. Miał na sobie odzienie wyładowcy okrętów w portach, całe w łachmanach, zawalane błotem, wódką i krwią.

Ten był jak się zdawało zabójcą. Wyraz twarzy jego był dziki. Oczy błyszczały wściekłością. — A twarz konwulsyjnie drgala, na szyi i szczękach miał dwie rany, z których krew obficie płynęła.

W prawej ręce obwiniętej w szmaty trzymał pięcio strzałowy rewolwer wymierzony do policjantów.

— Poddaj się! krzyknął Żewrol.

Wargi jego z widocznym wysileniem poruszyły się, lecz nie mógł wymówić ani jednego słowa.

— Ty nic nie możesz z nami zrobić, mówił Żewrol, nas wielu, ty jeden, rzuć lepiej broń.

— Ja niewinny przemówił tenże ochrypłym głosem. —

— To być bardo może, lecz to do nas nie należy.

— Mnie napadli, spytajcie o to tej staruszki, broniąc się zabiłem, miałem do tego prawo.

Potwierdził te słowa tak groźnym gestem, że jeden z policjantów będycych przy samych drzwiach, pociągnął Żewrola w tył, mówiąc:

— Strzeż się jenerale, nie dowierzaj! — rewolwer o pięciu strzałach, a my słyszeliśmy tylko dwa strzały.

Nieustraszony Żewról odtrącił go, znowu posunął się naprzód i zupełnie spokojnie wyrzekł:

— Nie żartuj przyjacielu; wierzaj mi, jeżeli twoja sprawa czysta jak ty mówisz, co być bardzo może, to nie psuj jej.

Ten wahał się.

Życie Żewrola było w jego rękach.

Czy spuścił kurek?

Nie. Rzucił rewolwer i powiedział:

— Weźcie mnie.

Lecz zaraz przyszła mu myśl: znał tu wszystkie wychody, stół stał między nim i policjantami, dla czegóż nie mógłby uciekać? rzucił się do drugiego pokoju.

Żewrol przewidział to, rzucił się naprzód lecz przed nim był stół.

— Ach! wykrzyknął, nędznik ucieknie nam.

Lecz los zbójcy był już roztrzygnięty.

Kiedy rzucił się do następnego pokoju, spotkał go przy samym wyjściu ten młody ajent, który patrzał w okno, silnie pchnął go w tył i między niemi zawiązała się bójka.

Lecz oto złodziej stracił równowagę i przeleciał przez stół, do stojących po tej stronie ajentów.

— Wszystko stracone! krzyknął, przyszli prusaki.

Przezorność młodego ajenta wprawiła Żewrola w zachwycenie.

Cudownie mój kochany, powiedział, cudownie, ty masz powołanie. Tak, ty daleko, daleko zajdziesz, jeżeli przypadek....

Zatrzymał się. Wszyscy z takim zapałem podziwiali jego pochwały, że w nim powstała zawiść. Widział, że znaczenie jego zmniejszyło się i pospieszył dodać:

Ja sam myślałem o tem, lecz nie mogłem rozporządzić się, nie wzbudzając podejrzenia w tym łotrze.

Związali zbójcy ręce i nogi powrozem i posadzili na stole.

Nie sprzeciwiał się. Jego gwałtowne wzburzenie zamieniło się w obojętność, a rysy twarzy wyrażały tylko dziką nieczułość. Widocznie już poddał się i postanowił nie sprzeciwiać się.

— No, powiedział Żewrol, widząc, że przestępca już nie jest w stanie min, teraz zajmiemy się drugiemi. Zapalcie świece.

Podszedł do dwóch leżących na ziemi pomacał puls, przyłożył rękę do serca, nic, serce nie biło, oni nie żyli.

Nie mamy tu co robić, oni nie żyją. Zostawiemy ich tak leżących do przyjazdu assesora a zobaczymy trzeciego.

Ten jeszcze dyszał. Był to młody człowiek, ubrany po wojskowemu, niskiego wzrostu bez ręki.

Podniesiono go bardzo ostrożnie, gdyż przy każdem poruszeniu jęczał i posadzono na podłodze oparłszy plecami o ścianę. Otworzył oczy i ledwie dosłyszanym głosem prosił pić. Podali mu naczynia z wodą, z chciwością wypił ją — głęboko westchnął jakby odzyskał siły. —

— Gdzieś ty raniony spytał Żewrol?

W głowę.... tu, odpowiedział, próbując podnieść rękę, o jak to boli...

Policjant, który przeszkodził uciec przestępcy zbliżył się do ranionego i ze zręcznością, której nauczył się od jednego starego felczera obejrzał jego ranę w tyle głowy.

Ta rana nie jest niebezpieczną, powiedział; lecz na twarzy można było wyczytaś, że on uważał tę ranę nietylko za niebezpieczną, ale nawet za śmiertelną.

— To nic, pocieszał Zewrol ranionego, uderzenie

w głowę jeżeli nie zabija od razu, to za miesiąc wyleczy się.

Ten smutnie uśmiechnął się.

— Dostałem swoje, wyrzekł.

— Eh dosyć tego!

— Że dosyć ja to czuję. Lecz nie szemrzę. Dostałem tylko to na co zasłużyłem.

Przy tych słowach obecni odwrócili się do przestępcy: myśleli, że ten skorzysta z tych słów i na nowo zacznie twierdzić o swojej niewinności.

Lecz omylili się, jakby nie słyszał tych słów.

Lecz oto, mówił dalej, ledwie dosłyszanym głosem raniony, ten rozbójnik Laszener wciągnął mnie do tej sprawy.

— Laszener?

— Tak, Jan Laszener, stary aktor, który mnie znał wtenczas, gdy byłem bogaty... gdy miałem majątek, lecz straciłem wszystko, chciałem zabawić się. Wiedząc że nie mam ani grosza, przyszedł do mnie i obiecał dużo pieniędzy, żebym na nowo mógł prowadzić moje poprzednie życie. I za to że uwierzyłem mu, zdechnę jak pies w tym odmęcie. — O, ja zemszczę się.

Przy tem ostatni już raz zrobił giest grożący.

— Chcę zemścić się mówił. — Wiem wiele więcej jak on myśli, wszystko powiem!...

Siły jego wyczerpały się. Gniew dodał mu na chwilę energji, lecz to była ostatnia oznaka życia.

Gdy znowu chciał mówić, już nie mógł.

— Skończyło się wyrzekł Żewrol.

— Nie jeszcze odpowiedział młody ajent, lecz nie zostało mu życia nad dziesięć minut. Niech djabli wezmą, on nic więcej nie powie.

Podczas tej sceny, Żewrol miał tak zimną krew, jakby to było rzeczą najzwyczajniejszą.

Wstał z kolan z przed ranionego, otrzepał kurz i powiedział:

— Dowiemy się co nam potrzeba. To młody żołnierz; na epoletach jego munduru powinien być numer pułku.

Lekki uśmiech przemknął się po ustach młodego ajenta.

— Ja myślę, że mylisz się jenerale, powiedział.

— Jednakże.....

— Tak rozumiem, widząc jego ubranie, myśliliście...... lecz nie. Ten nieszczęśliwy nie był żołnierzem.

— Idziesz pan w zakład?

— Patrz pan czyż on ostrzyżony? gdzież widzieliście żołnierzy, którymby włosy spadały na plecy?

Jenerał zmięszał się na chwilę.

— Ty myślisz, wyrzekł szorstko, że moje oczy w kieszeni.

Twoje spostrzeżenie nie ukryło się przedemną; ja tylko powiedziałem sobie, to młody, który z urlopu korzysta, żeby dać odróść włosom.

— Lecz....

Żewrol nie lubił żeby mu przerywano.

— Dosyć, powiedział. Będziemy wiedzieć o wszystkiem, co się stało. Ciotka Szulpin żyje, filutka.

Mówiąc to poszedł ku starej, znajdującej się ciągle w tem samem położeniu. Od samego wejścia policjantów nic nie mówiła. Nie ruszyła się na nic nie patrząc, tylko stękania swego nie przerywała.

Żewrol szybko zerwał z niej fartuch. Była to chuda, koścista, żółta, pijana staruszka.

— No wstawaj! rzekł Żewrol. Twoje szlochanie mnie nie wzruszy. Tyś dawno powinna być na galerach, za te zioła, które kładziesz do napojów i któremi odurzasz głowy pijaków.

Staruszka rzuciła wzrokiem po całym pokoju, i powiedziała płaczliwym głosem:

— Ach nieszczęście. Co ja będę teraz robić? Wszystko potłuczone połamane. Ze wszystkiem mnie zrujnowali!

Kronika. — *Najstarsi obywatele miasta nie pamiętają pogody na horyzoncie Krakowa. — Sztab główny dyplomatów do góry nogami padł przed bambusem sędziego, etc.*

Za czasów ś. p. pogody, na plantach krakowskich, wieczorkiem, na jednej z odosobnionych ławeczek, zbierało się regularnie kółko, widocznie dobranych przyjaciół, a pseudo polityków miejskich.

Niepamiętam dnia aby brakowało którego do kompletu — jak żołnierz na appel stawiał się każdy, z zapasem wiadomości, owocem całodziennej a mozolnej pracy.

Ten, który przyszedł pierwszy siadał na brzegu ławeczki — i robił młynka palcami to w tę to w ową stronę, dopóki nie zjawił się drugi towarzysz i nie zajął obok siedzącego, miejsca.

Rozmowa zaczynała się od zwykłego „dobry wieczór“ a następnie jak z kłębka rozwijała się dysputa o bieżących wypadkach wojny,

Zwyczajnie na stanowisku stawiał się pierwszy pan prezes, jeżeli go pan sędzia nie uprzedził i nie zajął skrajnego miejsca ławeczki, które to miejsce, miało te przedewszystkiem dogodności, że siedzący, nie mając nikogo po prawej swojej ręce, miał wolną przed sobą przestrzeń do gestykulowania, a ręka wskazując miejsca w których komenderujący siekał na kapustę prusaków, nie zawadzała nigdy o nos sąsiada.

Odkrywszy przypadkiem owe kółko żyjącej kroniki wojennej— a nie mając dokładnego pojęcia o planach dowódców stron walczących, przyznaje się wam szanowni czytelnicy iż wielce dziękowałem Bogu, że mi pozwolił słuchać i uczyć się od starszych— przytem byłem pewny, że mi się to przydać kiedyś może do... napisania kroniki.

Siedziałem więc zwykle na przeciwległej ławeczce — zasłonięty szerokim kasztanem, aby obecnością swoją nie żenować mówiących. —

Jednego wieczora, zatrzymany interesem, spóźniłem się cokolwiek — pamiętam było to wtenczas, kiedy gazety przyniosły wiadomość o katastrofie pod Sédanem. — Na ławeczce komplet był już zupełny, czterech dyplomatów siedziało na swoich miejscach — pan prezes kręcił młynką palcami — a kapelusz przechylony cokolwiek na bakier był wróżbą złego humoru i nie ze wszystkiem dobrych wieści z pola walki.

Przed zebranem areopagiem stał pan sędzia z wyciągniętym bambusem, dając rozkaz któremuś z jenerałów francuzkich do uderzenia na lewe skrzydło Steinmetza i zniszczenia go zupełnie.

W pień ciąć prusaków — w pień! Oskrzydlić tyralierami. — W środek kolumny wpakować im baterją kartaczownic — a potem sformować front i na bagnety!

Do ataku — naprzód — marsz!

I przy tych słowach pan sędzia uchwycił silnie w obie ręce potężnego bambusa — a przysiadłszy do ziemi — zrobił giest jakby rzeczywiście mając przed sobą nieprzyjaciela, chciał szukać końcem bagnetu jego serca.

Czy to przez zbyteczny zapał, czy też w skutek potężnego owego skoku, którego nie próbował już pan sędzio najmniej od lat 50 — bambus oparł się o piersi siedzącego na przeciw pana majora, — który nieznalazłszy po za sobą poręczy, schwycił się ramion sąsiadów; pan sędzia widząc znów, że nieprzyjaciel nie myśli o poddaniu się, natarł tak silnie na przeciwników, że za chwilę, cała czwórka trzymając się wzajemnie, w skutek utraty equilibrium runęła z ławki na ziemię!

— Bój się Pana Boga sędzio, co też ty wyrabiasz, krzyczał dobywający się z pod sąsiadów pan major.

— To krzyczcie pardon, zawołał imponująco, ocierając pot z czoła, pan sędzia — inaczej poszlę na was kirasjerów i żywej nogi nie puszczę.

— Ma racją, lepiej kapitulować — przytem nie ubliża nam to osobiście — bo sędzia wziął nas za prusaków.

— Co? za prusaków! — może jeszcze za przebranych Bismarków! — dziękuję za honor! wołał prezes, cisnąc kapelusz coraz więcej na bakier. Doprawdy z sędzią dysputa niepodobna — nie ma pojęcia o taktyce wojennej, a na domiar uderza jeszcze w sam środek sił sprzymierzonych. — Piękna konduita.

Rzeczywiście pan sędzia, czy przypuszczał, że może zrobił coś takiego co ubliżało jego zdolnościom strategicznym, czy przerażony tak łatwem zwycięztwem, stał w obec zwyciężonych, jak uczeń przed profesorem kiedy nic a nic lekcji nie umie.

— Jak mogłeś sędzio na takie niebezpieczeństwo narażać niezwyciężoną jeszcze armię! — wołał pan major otrzepując się z ziemi — jakto czyś nie wiedział, że królewicz pruski obchodzi cię aby ci tył zająć?

— Prawda! prawda! powtórzyli wszyscy chórem — a za niemi smutno rzekł także i pan sędzia — prawda! zapomniałem.

— Dobry wódz o niczem nie zapomina — i dla tego sędzio, odbieramy ci naczelne dowództwo — ogłaszając Rzeczpospolitą.

Prezes ma racją zawołał cały sztab jednogłośnie! niech żyje Rzeczpospolita i demokracja krakowska.

Nie ma widocznie niebezpieczniejszych rzeczy nad idee, które na czas wojny wywędrowawszy od Poznańczyków — rozrastają się jak polipy w Krakowie.

Wiadomo przy tem, że do wszelkiej nowo wyklutej idei prowadzi droga prosto przez koniec nosa, na którym opiera się powaga demokratycznej opozycji w całem państwie Cislitawskiem wraz z obwodem Krakowa.

Rzeczpospolita została tedy ogłoszona przy białej kawie i pulchnych bułeczkach u nieśmiertelnego Dyktarskiego, a idąc z tamtąd zawsze w kierunku nosa) wolność i niepodległość trafiła do Dyrekcji teatru krakowskiego.

Dyktatorem obrało sobie Towarzystwo p. Dulębę, dawszy mu wpierwej świadectwo **n a p i ś m i e** jego nieposzlakowanej uczciwości i tysiącznych cnót obywatelskich, któremi hojnie natura obdarzyła pełnego poświęcenia się dla pięknych artystek p. sekretarza.

Nieszczęśliwy to jednakże przydomek ten **s e k r e t a r z** ani rusz szczęścia dla tego tytułu w Krakowie, ręczę, że niedługo jaki zawadjaka wygrzebie jeszcze trzeciego do kompletu, aby już zupełnie było jak w owej komedji, która ma tytuł „trójki..........“ a kończy się jak bigos hultajski.

Niechcąc się atoli narażać na proces z żadnym z pp. Sekretarzy — proces zapowiedziany przez p. Dulębę inseratami w Kraju, na który publiczność i sąd przysięgłych oczekuje dotychczas daremnie — pogodnie patrzymy w przyszłość teatru krakowskiego pełni wiary, że teatr nasz nie tylko nie upadnie ale odrestauruje się i będzie kiedyś pełny. — Publiczność nasza to jak dziecię, potrzeba ją tylko przekonać, że chęci są....., że poświęcenie się dla narodu to główna oś Dyrekcji na której obraca ją pan sekretarz — a ręczę wam, że publiczność nasza da się złapać — choćby dla tego aby dowieść wiekowej łatwowierności i dobrogo serca!....

Przepraszam, zboczyłem z drogi. — O ideach pisać zamierzyłem i jak to się często zdarza, trafiłem na...... sekretarza!

Otóż dowodząc niebezpieczeństwa idei we wszelkich państwach konstytucyjnych — widzę zatrważające jej skutki w emigracji artystycznej! —

Pani Modrzejowska rozpoczyna szereg zbuntowanych republikanek sceny krakowskiej; — w skutek czego Dyrekcja ograniczona na same komedje ratowała się p. Nowakowską i od czasu do czasu improwizowano dramaty Schaekspaera po krakowsku, dopóki p. Nowakowska nie poszła w ślady europejskich artystek i nie...... wyjechała do Poznania. Po niej palma pierwszeństwa dostała się p. Parżnickiej królującej wszechwładnie na horyzoncie tragedji i dramatu i w dość zażyłych stosunkach żyjącej z Schaekspaerem.... Dziś, (wszystko to w skutek idei republikańskich) i ten filar runął już podobno — a pan sekretarz jak gladjator, na ramionach, podtrzymuje rozsypujący się w gruzy gmach teatralny, z taką starannością pielęgnowany przez Dyrekcję — aż do tej chwili. Gdyby Dyrekcja nie miała p. Fiszera, który w smutnych chwilach rozpaczy przedstawia się publiczności w „Polowaniu na męża“ za p. Rapackiego.... gmach runął by — jedynie w skutek idei emigracji gwałtownej; a więcej jak się pokazuje, niebezpieczniej dla teatru krakowskiego, niż dla rządów europejskich.

W tym punkcie gdybym zamiast kroniki pisał tygodnik dla „Kraju“ wykazałbym wam piękne czytelniczki, różnice usposobień dla emigracji w rozmaitych dzielnicach pokrajanej na rozmaite części polski. — Wiadomo bowiem, że w Krakowie emigracja oprócz opieki policji nie potrafiła sobie zaskarbić sympatji **n a r o d u** krakowskiego — i że od czasu do czasu pojawiają się rozmaite pogłoski....., które mówią, że wstępny artykół „Kraju“ „O emigracji polskiej“ musiał mieć inicjatywę na pewnych **f a k t a c h** i **d a n y c h** i że zakordonowi przybysze czują się nie tylko obcymi na terytorjum Galicji, lecz, że niezawodnie przyszło by do średniowiecznego wyświecania ich z miasta, gdyby nie to, że feodalny system upadł już w państwie Austryjackim — wraz z sympatją dla Polski.

Smutne ale prawdziwe dzieje.

Wszystko to jak pisze pan Michał w „Tygodniku,“ jest dziełem Stańczyków, — którzy pracują nad postawieniem piramidalnej Targowicy i forytują na tron Polski bismarkowskiej jednego z carów północy ofiarując mu ekstrakt demokracji cislitawskiej i sukiennice krakowskie z warunkiem aby uprosił Magistrat, o pozostawienie przy nich wieży ogniowej i budki na odwach — a gmach zaś sam historyczny (w którym Poniatowski tańczył kiedyś kontredansa — i w którym oprócz tego urodził się podobno jeden z najsławniejszych mężów krakowskich) — aby jeszcze przez lat kilkaset zdobił rynek krakowski.

Widocznie, że politycy nasi rozcinają węzły gordyjskie prędzej aniżeli pp. Favre i Bismark, który z pod Sédanu nie może trafić do Berlina chociaż już widział Paryż — z daleka.

*** Nakładem księgarni *J. M. Himmelblaua* wyszła „Gramatyka jęzkka niemieckiego“ p. *Jana Schobera* Dyrektora szkoły realnej na Leopoldstadt w Wiedniu, według 23 wydania przełożona i do użytku młodzieży polskiej zastosowana p. *E. Rebena.*

Książkę tę po sumiennym podejrzeniu polecić możemy czytelnikom naszym nietylko bowiem zasługuje na to sam wykład metodyczny oryginału, ale i porządnie dokonane tłómaczenie. Największą jego zaletą jest przyjęcie systematyczne terminologii według teorji Dra Małeckiego, czego dotychczasowym przekładom podręczników gramatycznych zupełnie zbywało. Cena egzemplarza wynosi 85 centów.

*** *Dr Fr. von Holtzendorf* znany propagator emancypacji kobiet, donosi iż w dniu 18 i 19 Października odbędzie się w Filadelfii 20 roczne posiedzenie parlamentu kobiecego. Wzywa on towarzystwo kobiece w Niemczech do przesłania stosownych adressów i powinszowań na ręce Pani *„Pauliny Wright Davis,“ Providence Rhode Island, United States of America.*

*** Podczas posiedzeń zjazdu węgierskiuh pedagogów funkcję stenografa urzędowego spełniła Pani *Illesy.* Sprawozdania jej doznały ogólnego uznania.

*** Stowarzyszenie węgierskich gospodyń urządza w tym roku od 20 — 28 Października wystawę wyrobów domowych i różnych przedmiotów użytecznych w domowym gospodarstwie. Wystawa będzie miała miejsce w *Köztelek.*

ROZMAITOŚCI.

Podróż balonami. Wychodzący w Rouen *Nonveliste* podaje następujące szczegóły o powietrznej podróży Gambetty.

We czwartek z rana o 11 godzinie, wzniosły się dwa baloay z placu św. Piotra na wzgórzu Montmartr. W jednym z tych balonów „Armand Barbes“ zasiedli: p. Gambetta sekretarz jego p. Spulter i Frich aeronauta.

W drugim balonie „Georges Sand“ zasiedli pp. Revilod, Reynolds z New Jorku i May Amerykanin, który od roku 1862 mieszka w Paryżu; p. Cuson podprefekt z Redon i jeden aëronauta. Tłum niezliczony przytowal odejściu balonów. Gambetta przyszedł w towarzystwie kilku swych kolegów. — Wszyscy życzyli mu dobrego powodzenia tak niebezpiecznego przedsięwzięcia i dobrego rezultatu wielkioj misji, jaką podjął się spełnić w kraju. Operacjami odjazdu kierował sam p. Nadar. —

Wnet oba balony uniosły się w powietrze wśród szalonych oklasków tłumu wzruszonego mocno tym widokiem; każdy bowiem pojmował na jakie niebezpieczeństwo naraża się ten odważny mąż stanu. —

Z początku balony wznosiły się tuż obok siebie, tak, że podróżni siedzący w łodziach mogli z sobą rozmawiać. — Unosząc się ponad linjami pruskiemi Gambetta i towarzysze jego szczęściem sto razy uchodzili śmierci. Prusacy bowiem bezustannie do nich strzelali, a kule pruskie dolatywały aż do samej łodzi.

Aż do trzeciej godziny po południu oba balony żeglowały w równym kierunku, jeden niedaleko drugiego. O godzinie trzeciej rozeszły się w przeciwne strony — ale już blisko były miejsca gdzie miały się spuścić na ziemię. W godzinę później balon „Georges Sand“ spuścił się niedaleko Roy w departamencie Somme bez przygód.

Mniej szczęśliwym był balon „Armand Barbes“ spadł on i zahaczył się o drzewo niedaleko Montdidier. Zejście na ziemię p. Gambetty i p. Spultera było bardzo niebezpieczne. Chłopi i podróżny jeden, który właśnie przejeżdżał, przybiegli im na pomoc. Gambetta zdarł sobie tylko skórę na kilku miejscach.

Nie mamy potrzeby mówić, że tak w Roy jak i w Montdidier podróżni przyjmowani byli z zapałem i że wszędzie ofiarowano im usługi, aby przyspieszyć ich przybycie do Amiens, gdzie przybyli wieczorem.

OD ADMINISTRACJI „KALINY.“

Kilko tygodniową przerwę w wydawnictwie „Kaliny“ spowodowało nieregularne nadsełanie prenumeraty ze strony Szanownych Prenumeratorów. — Administracja „Kaliny“ ma do żądania za przesyłanie dziennika przeszło 900 fl. Dla tego zmuszeni jesteśmy prosić wszystkich pp. Prenumeratorów, którzy z przedpłatą zalegają, aby raczyli takową niezwłocznie nadesłać, inaczej bowiem zmuszeni bylibyśmy, dla usprawiedliwienia się, upomnieć się o zaległość zapomacą dziennika.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w. a.

Prenumerata zagraniczna: rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcji: ulica Wiślna albo w księgarni J. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicji **prócz miasta Lwowa.** należy przesyłać wprost do Redakcji.

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Redaktor odpowiedzialny i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.